Cena zł. 1.30

15 Styczeń 1926.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Nr. 2 (74).

PRZEGLĄD MYŚLIWSKI i ŁOWIECTWO POLSKIE





CUDZOZIEMSKIE WYRAŻENIA W ARTYKUŁACH MYŚLIWSKICH.

Przykrą jest rzeczą dla niektórych myśliwych, kiedy, czytając pisma myśliwskie, łamią sobie głowę nad taką naprzykład zagadką: co to jest ten „quasi“ myśliwy, albo hypernemrod, minorum gentium, pour la bonne regle, leporydów i t. p. Myślą sobie tak: widocznie ja już nie będę dobrym myśliwym, kiedy nie rozumiem, co myśliwi mówią, albo też nasz polski — myśliwski język jest tak ubogi, że trzeba się koniecznie uciekać do wyrazów obcych. A może też to ci myśliwi tak piszący, chcą się pochwalić uczonością i znajomością wyrażeń łacińskich, czy francuskich? Wogólę ci biedacy mniej uczeni myślą i ostatecznie nie wiedzą, jak wygląda „quasi“ myśliwy. Trudno przypuszczać, ażeby autorzy, szpikujący artykuły swe obczyzną, posądzali wszystkich czytelników o znajomość tak nowych obcych wyrazów. Jeżeli szanowni autorzy uważają, że w polskim języku niema określenia potrzebnego i że muszą użyć koniecznie obcego, to niechby byli tak dobrzy i choć w przybliżeniu objaśnili u dołu strony, czy w nawiasie, po polsku dany wyraz, a reszta czytelników mogłaby orjentować się dokładnie i nie być narażoną na przykrość.

Czy nie byłoby pożądanem, ażebyśmy wszyscy, uczeni i nie uczeni, dążyli do używania, rozwijania i upiększania czysto polskiego języka, nawet w myśliwstwie, a nie napychali doń wyrazów o zupełnie innej pisowni, które naogół prawie nigdy się nie przyjmą?

Adam Krakowiak.

Trzcianna, grudzień 1925 r.

Kronika kłusownicza.

Wracając w niedzielę dn. 15 listopada z polowania, spotkałem na stacji w Zawierciu dobrze podchmielonego policjanta (nie w uniformie) z posterunku w Dąbrowie Górniczej, który śmiał odezwać się do mnie w te słowa: „Gdybym był na służbie, zaprowadziłbym Pana na posterunek, gdyż w niedzielę nie wolno polować!“ — Nieomieszkałem naturalnie dać owemu „mądremu“ posterunkowemu odpowiednie wyjaśnienie i oznajmiłem mu, że nie ma najmniejszego pojęcia o odn. przepisach, skoro takie androny wygłasza. „A propos“ nadmienię tu dla porządku rzeczy, że w zeszłym roku również podobne głupstwa opowiadał mi na stacji w Myszkowie posterunkowy tamtejszego oddziału policji, niejaki Skwara, za co wówczas od swych władz dostał odpowiednią reprymandę za absolutną ignorancję swych praw i obowiązków. Należałoby i owego „mądrego“ posterunkowego, którego nazwisko znam, lecz narazie ze względu na to, że nie był na służbie, nie ujawniam, pouczyć o obowiązkach i przepisach policyjnych. Gdyby policja obróciła swoją gorliwość raczej w kierunku kłusowników, od których wszędzie się roi wprost, możeby tym sposobem do pewnego stopnia ukróciła liczne nadużycia.

We wsi Siedliszowice gm. Kroczyce, pod Pradłami, jest trzech kłusowników, z których dotąd dopiero jednemu odebrano broń, dwaj pozostali uprawiają w dalszym ciągu swój niecny proceder.

Zwierzostan w tamtych okolicach jest względnie niezły. Na 250 — 300 morgach, nb. słabo opolowanych, widziałem przy fatalnej pogodzie 12 zajęcy i 2 stada dość liczne kuropatw. Przy odpowiednim dozorze i opiece zwierzostan ten dałby się łatwo pomnożyć, tembardziej, że zapowiadająca się łagodna zima tegoroczna będzie sprzyjała skutecznemu przezimowaniu zajęcy i kuropatw, niezmiernie, ze względu na brak śniegu, utrudniając „pracę“ kłusownikom wnykarzom i sidlarzom.

Stefan Ostrowski.

W listopadzie 1925 r. w powiecie skierniewickim, gm. Doleck, posterunkowy Wróbel spotkał niejakiego Więcławskiego ze wsi Wycześniaki, z fuzją pod paltem. Na wezwanie, Więcławski strzelby nie oddał, lecz rzucił się na posterunkowego i uderzył go kolbą w głowę. Posterunkowy wyrwawszy mu lufy, poturbował go srodze i strzelbę zabrał. Obecnie siedzi stary, zawodowy kłusownik w więzieniu w Grodzisku i oczekuje wymiaru kary przynajmniej rok, za kłusownictwo i za porwanie się na posterunkowego. Ten sam Wróbel, także w listopadzie 1925 r. odebrał strzelbę we wsi Esterka, (bliższe szczegóły nie są mi wiadome), a dwa lata temu odebrał fuzję swemu wójtowi w swej gminie Doleck i przyczynił się do wsadzenia go do kozy i zaniechania kłusownictwa.

Posterunkowemu Wróblowi, od nas myśliwych uznanie i cześć.

A. Krakowiak.



KLUB ŁOWIECKI W PRZEMYŚLU.

Przemyski Klub Łowiecki polował dnia 2 grudnia na własnym terenie wsi Szechynie, koło Mędyki. W 17 strzelb ubito 41 zajęcy; około 10-ciu szaraków poszło leczyć się z ran, wielu zaś uszło zupełnie niestrzelanych. Stan zwierzyny w porównaniu z ubiegłym rokiem — świetny. Kuropatw natomiast nigdzie nie spotkano. Polowanie przegrodzone wspaniałym barszczem i bigosem — prowadził łowczy mjr. Maksymowicz. Naganki 27 ludzi — naganiaczowi płacono 1.20. *J. W. K.*

Z POW. GARWOLIŃSKIEGO.

Dnia 7 grudnia r. b. w lasach dóbr Osmolice, wł. księżny Ludwiki Czartoryskiej, odbyło się polowanie w 13 strzelb. Rezultat polowania: 83 zające i 1 lis. Pogoda piękna. Strzałów 234.

Józef Mianowski.

Dnia 19-go grudnia r. b. w majątku Szystowice, pow. Hrubieszewskiego, Ziemi Lubelskiej, odbyło się doroczne polowanie u prezesa miejscowego kółka myśliwskiego, p. Henryka Weycherta. Z racji fatalnej niepogody i zadymki, polowano tylko w lesie i nie opolowano wszystkich miotów; wobec tego i rezultat polowania był gorszy niż można było przypuszczać w tych dobrach, gdzie zwierzyna jest racjonalnie ochraniana i gdzie sprężysta ręka właściciela stale czuwa nad podniesieniem zwierzostanu.

Zabito 31 zajęcy i 2 lisy; do kozłów nie strzelano. Królem polowania był Hr. Komorowski. Po polowaniu pp. Weychertowie nadzwyczaj mile i gościnnie przyjmowali myśliwych i sąsiadów i bridge dla starszej, schimmy dla młodszej generacji czas mile urozmaicał. *J. B.*

Dnia 17-go grudnia r. b. odbyło się doroczne polowanie na zające w dobrach Wierzchowiska, Ziemi Lubelskiej, p. Jana Koźmiana.

W siedmiu pędzeniach leśnych, jednym kotle i jednej sztrejfie polnej padło 356 zajęcy, 3 lisy i 1 jastrząb. Najwięcej na rozkładzie miał p. Jan Gerlicz z Stojeszyna, zabijając 43 sztuki.

Dnia 6-go grudnia r. b. na terenach Łuszczów i Rudka zabito: 124 zające i 2 lisy.

Dn. 13 grudnia r. b. na terenach Łopiennik i Nowo-Dwór zabito: 100 zajęcy i 3 lisy.

Dn. 20 grudnia r. b. na terenach Łocienne i drugiej połowie Świdnika Dużego padło: 115 zajęcy, 1 kozioł i 1 lis.

Zwierzostan na wszystkich terenach pomyślny. Wskutek lekkich mrozów podczas polowań, rezultaty są mniejsze, gdyż duża ilość zajęcy wracała na nagankę i uchodziła stronami.

Cz. Zarz. *W. Łosakiewicz.*

W dn. 9 i 10 grudnia r. b. odbyło się w Gałęzowie, w powiecie lubelskim u pp. Józefów Przewłockich polowanie, na którem w 4 kotłach, 2 sztrejfach i 5 miotach ubito w 7 strzelb 356 zajęcy. Królem polowania był p. Stefan Kowerski jr., mając na rozkładzie 62 zające. Dobry ten, jak na obecne stosunki w Lubelskiem, wynik, który zawdzięczać należy zaledwie trzyletniej usilnej pracy gospodarza i Jego uroczej Małżonki nad podniesieniem zwierzostanu, zachęci niewątpliwie naszych pesymistów do starannej hodowli zwierzyny. *E. S.*

— Dnia 28 i 29 grudnia 1925 r. odbyło się polowanie na zające w dobrach, należących do A. A. hr. Potockich. W 11 strzelb zabito 153 zające, lisa i 2 jastrzębie.

Królem dwudniowego polowania został p. St. Leski z Kąkolownicy, mając 19 zajęcy na rozkładzie.

I-szy dzień polowania: odwilż i mgła. Padło 90 zajęcy, lis i 2 jastrzębie. Królował p. Szymon Szafrański z Bełcząca, zabijając 11 zajęcy, lisa i jastrzębia.

II-gi dzień polowania: odwilż, pogoda. Padło 63 zające. Królował p. St. Leski, zabijając 9 zajęcy.

Zajęcy widziano dużo, nieodpowiedni zaś czas wpłynął bardzo na liczbę rozkładu.

Janusz Jaworski.

Dnia 12 grudnia r. ub. odbyło się polowanie w Worońcu u księcia Kazimierza Mirskiego. Zabito 196 zajęcy. Strzelb 11. Królem został p. Michał Jaworski z Międzyrzeca Podlaskiego, mając 25 zajęcy na rozkładzie. Wicekrólem był hr. Potulicki, mając 23 zające.

DZIKIE ZWIERZĘTA W FILMIE.

Kinematografja na początku swego istnienia nie znała zdjęć dzikich zwierząt. Pierwszy film tego rodzaju (urągający zresztą elementarnym pojęciom zoologji) stworzył Selig w Chicago 1909 r.

Występowały tam lwy, jaguary, pantery, lamparty, szakale, hjeny, antylopy, wielbłądy, małpy i słonie — jednem słowem istna arka Noego, z tą filmowania dzikich zwierząt w czasach późniejszych. Opowiada nam ciekawe przygody, związane z robieniem tych zdjęć, z osobistych, bogatych niezwykle wspomnień i obserwacyj. Te też dzieło Delmonta czyta się jednym tchem, jak najciekawszą, porywającą powieść.

Dowiadujemy się ze wspomnień Delmonta, ile



Bohater filmu robi przed aparatem „przyjemną minę"...

różnicą, iż jedynym przedstawicielem stworzeń nieczystych był sam autor scenarjusza. Obyczaje wszystkich zwierząt były niemiłosiernie dostosowane do tabuły filmu. Mieszkańcy Afryki i Ameryki spotykali się na ekranie, jakgdyby nie istniały żadne oceany świata.

Józef Delmont, autor świeżo wydanej książki „Dzikie zwierzęta w filmie", opowiada nam dzieje trudności zwalczyć należy, aby z poświęceniem życia zdobyć porywający film. Napisać scenarjusz, w którymby występowały wszystkie bestje świata — to rzecz łatwa. Wykonać jednak — nieco trudniej.

Technikę robienia filmów zwierzęcych najłatwiej poznać z przykładów. Delmont mówi nam o sfilmowaniu pierwszego zdjęcia, którego bohate-

rem był lew. Według scenarjusza lew ów uciekł z klatki ogrodu zoologicznego. Przebiega przez miasto, budząc dokoła straszliwą panikę. Wpada wreszcie do jakiegoś mieszkania. W mieszkaniu tem ojciec rodziny, nałogowy pijak, usiłuje zabić siekierą swoją żonę. Zwierz rzuca się na sześcioletnie dziecko pijaka. Pijany trzeźwieje w obliczu niebezpieczeństwa i stacza ze lwem zwycięską walkę.

W celu wykonania niniejszego zdjęcia firma zakupiła z grupy lwów najcichszego i najłaskawszego. Lecz ten w odosobnieniu stał się odrazu złym i groźnym. Trzeba było kupić lwa zupełnie dzikiego, świeżo złapanego w Kongo.

Istnieje pogląd, iż w niewoli urodzone zwierzę jest łaskawsze od dzikiego. Pogląd to niesłuszny. Zwierzę w niewoli szybko poznaje słabości ludzkie, podczas gdy zwierz dziki jest zaczepniejszy, lecz ludzi się lęka.

Dzikiego lwa wyuczono przelatywać z klatki do klatki. Zdjęcie ucieczki z klatki udało się znakomicie. Trudniej było natomiast ze zdjęciami ulicznemi. Boczne ulice zamknięto zasiekami z drutu. Zaangażowano odważnych „przechodniów", tramwaje, rowerzystów, wózki dziecinne i psy i miało to wszystko tworzyć ruch uliczny. Do robienia zdjęcia powołano trzech operatorów. Skoro wszystko było gotowe — zaczął lać deszcz i padał trzy dni. Czwartego zrobiono zdjęcie. Lew był w złym humorze. Delmont dał jednak sygnał rozpoczęcia filmu. Operatorowie zaczęli kręcić, przechodnie chodzić po ulicy, gazeciarze sprzedawali dodatki nadzwyczajne, tramwaje jeździły, brakowało tylko... lwa. Nie chciał opuścić klatki. Musiano rozpocząć zdjęcie na nowo. Lew z klatki wyskoczył. W popłochu zaczęło wszystko biegać, tylko lew nie pobiegł. Położył się na piasku i ani myślał stamtąd ruszyć się. Pięć razy powracał do klatki i pięć razy musiano kręcić nanowo. Aż za szóstym razem wszystko udało się wybornie.

Statyści nabrali odwagi: nie uciekali już przedwcześnie. Lew przeleciał ulicę przed ustawionemi aparatami — jaknajpomyślniej. Zdarzył się jednak przytem niespodziewany wypadek. Jeden z „przechodniów", który miał się schronić w czasie paniki na słup, spadł z owego słupa i śpiesznie począł wdrapywać się znowu... Lwu niespodobało się to zapewne. Wspiął się na słup i jednym uderzeniem łapy zdarł nieszczęśliwcowi kawał spodni, koszuli i dolnej bielizny, kalecząc również i to, co się pod tem wstydliwie kryło. Następnie zaś podążył do drugiej klatki.

Skok przez okno nie był trudny do wykonania: jeden z dozorców osiągnął to zapomocą przynęty w postaci krwawego mięsa. Najtrudniejsza część zdjęcia miała jednak dopiero nastąpić: była nią scena wewnątrz pokoju pijaka, zakończona walką.

W oknie zrobiono wielkie zdjęcie lwa. Następnie zaś poczęto filmować walkę pijaka — z człowiekiem w lwiej skórze. Dzięki niespodziewanemu zajściu przy słupie, film miał olbrzymie powodzenie.

W innym scenarjuszu zwierzęcym występowała hjena i tapir. Rzecz działa się w Afryce Środkowej. Bohaterka filmu została porwaną do dżungli i zamkniętą w trzcinowej chatce. Pod chatkę podkopuje się hjena, lecz zostaje napadnięta przez tapira, z którym stacza krwawą walkę.

Na uwagę Delmonta, iż tapirów w Afryce niema, dyrektor odparł, że mógł przecież tapir przepłynąć ocean, a zresztą, publiczność na tem i tak się nie pozna.

Pod progiem chaty umieszczono za kratą cuchnące mięso. Do niego poczęła się dokopywać wygłodniała hjena. Puszczono tapira, który zaatakował hjenę. Zbliżył się operator, by zrobić większe zdjęcie, potknął się, runął pomiędzy walczące zwierzęta razem z aparatem. Hjena odgryzła mu w ferworze pół ucha. Nadbiegł tymczasem drugi operator. Nagle rozległo się szczekanie psów, na pole walki wypadło dziewięć chartów i wmieszało się nieoczekiwanie do akcji dramatu. Hjena, korzystając z zamieszania, umknęła kopać w dalszym ciągu dokoła leżącej pod progiem padliny. Psy kotłowały się z tapirem. Nadbiegł ich treser z biczem. Przebiegając koło chatki, wpadł w wykopany przez hjenę dół — zwierz chwycił go zębami za pośladek. Powstał nieopisany zamęt. Psy, treser, hjena, tapir — wszystko utworzyło żywy, przewalający się po ziemi kłąb.

Z wielkim trudem udało się wpędzić do klatki tapira, wyciągnąć z pod psów tresera psów: hjena umknęła. Zdjęto sceny „ludzkie", poczem aktorzy udali się na odpoczynek i śniadanie ku czekającym niedaleko samochodom. Treser, klnąc, oddalił się z psami w przeciwną stronę. W samochodzie ujrzeli jednak aktorzy dziwny widok. siedziała tam hjena, warcząc i szczerząc zęby. Zwierz pożarł wszystkie zapasy żywności: pieczone kurczęta, cielęce kotlety i rozbef — nie wyłączając nawet kości. Ujrzawszy ludzi, uciekł jednym susem i zginął w krzakach. Skoro aktorzy wrócili do hotelu, zostali aresztowani przez policję za to, że dzikie zwierzęta puszczają na wolność. Stała się bowiem rzecz straszna: hjena, umknąwszy z samochodu, natknęła się w lesie na psy (7 sztuk, pozostałych po walce), które rozpoczęły piekielną gonitwę. Hjena dobiegła do hotelu, wpadła na schody, dotarła do sali jadalnej, pełnej gości, w czasie obiadu. Psy wpadły za nią. Wśród nakrytych stołów, krzeseł, gości i kelnerów, rozpoczęły się dzikie łowy. Talerze, półmiski, szklanki, butelki, karafki, noże, widelce, łyżki i filiżanki brzęczały, rozlatywały się, pękały. Mężczyźni uciekali, kobiety krzyczały i mdlały. Portmonetki ginęły. Jakiś mąż, który chciał ocucić żonę, dobywając „sole" z jej torebki, znalazł list miłosny wielbiciela. Jakiś poryw-

czy młodzieniec rozstrzelał pewnej damie jej boa, biorąc je za hjenę.

Szczęściem dla aktorów było ich zaaresztowanie, w przeciwnym razie zostaliby niewątpliwie zlinczowani.

Szkody wynosiły 2.801.50 dolarów. Zapobiegliwy hotelarz doliczył wszystko, co zostało stłuczone w ciągu ostatnich 5 sezonów. Prócz tego napłynęły liczne reklamacje gości hotelowych. Między innemi pewna wdowa dopominała się o 5.000 dolarów odszkodowania, ponieważ w popłochu wypadła jej sztuczna szczęka, z powodu czego zerwał z nią jej narzeczony, bogaty fermer.

Hjena zniknęła bez śladu. Potworzyły się kółka łowieckie, celem zorganizowania na nią łowów, lecz bezskutecznie. Po dwóch dniach znaleziono ją w chłodni hotelowej, zamarzniętą na wołowym udźcu. Dostała się tam przez otwór ścienny. Śmierć miała słodką — pożarła połowę udźca.

Julјan Ejsmond.

(D. c n.).

Ku nowym horyzontom myśli łowieckiej.

W tak świetnie poruszonej przez D-ra Władysława Burzyńskiego w Nr. 24 „Przeglądu Myśliwskiego", kwestji wielkiego znaczenia, chodzi nie tyle o rodzaj podziału zwierzyny na wysoką i niższą, ile raczej o sposób, w jaki się na nią poluje. Ten punkt widzenia uważam za zupełnie słuszny.

Nie mam zamiaru omawiać tu polowań na grubego zwierza, do którego strzela się bezwzględnie i wyłącznie kulą i to większego kalibru.

Pragnę zwrócić szczególną uwagę Szanownych Czytelników „Przeglądu" na co innego, a mianowicie na stosowanie strzału kulowego w każdym wypadku, gdzie on tylko nadaje się, gdyż to wielkie zadowolenie, jakie sprawia sercu prawego myśliwego, nawet stosunkowo drobna sztuka zwierzyny, czy nią będzie lis czy zając, cietrzew czy jarząbek, zdobyte, zwłaszcza na dalszą metę, celnym strzałem kulowym i jaki to wywiera efekt podczas polowania, zdoła zrozumieć szlachetna myśliwska dusza — prawdziwy riflmen, taki myśliwy oceni też takie strzały należycie.

Każde trofeum, takim strzałem zdobyte, napawa adepta św. Huberta wielkiem zadowoleniem i niemałą radością! Z powyższego, jak słusznie twierdzi D-r. Władysław Burzyński, wynika, że „mielibyśmy tylko dwie klasy: wysokie polowanie—kulą i niższe polowanie — śrutem".

Również słusznem jest jego zdanie, że „użycie strzału kulowego — uszlachetnia polowanie". Takie bowiem polowanie charakteryzuje myśliwych, odźwierciadla i zróżniczkuje na tych, „co idą na mięso" i na myśliwych z Bożej Łaski w każdym calu, że się tak wyrażę, czystej krwi, bez żadnej domieszki sportowców-riflmenów.

Teraz staje się zrozumiałem, że przy pięknych, efektownych kulowych strzałach, każde polowanie stać się może wyższą, nawet najwyższą klasą polowania, które Niemcy mianują „Die hohe Jagd".

Z porządku rzeczy przejdę teraz do rozstrzygnięcia problemu praktycznie t. j. w jaki sposób możliwem jest stosowanie strzału kulowego w każdym wypadku, gdzie on się tylko nadaje, jak to na początku zaznaczyłem. Tę praktykę zdobyłem przez dwudziestoletnie doświadczenie, polując wytrwale, czasami w ciągu tygodnia, dzień w dzień bez wytchnienia w tajdze Syberyjskiej.

Rozwiązanie tego problemu, jak się zapewne wielu starszych myśliwych domyśla, jest łatwem, należy tylko zaopatrzyć się w doskonale dopasowaną wyższej marki trójlufkę, z którą nie powinnismy się rozstawać i polujemy literalnie na wszelką bez wyjątku zwierzynę, bo ta kombinowana broń naprawdę jest uniwersalna.

Takiej broni nie zamieni nam ani najlepsza śrutówka, ani też najwspanialszy express, które są dobre na poszczególne polowania, ale muszą być zmieniane; w tajdze nie ma czasu na zmianę broni, jak też niema afrykańskich „shikarich" — strzelbonośców.

Jestem zwolennikiem małych kalibrów i dlatego uważam za najodpowiedniejszą doskonale zbalansowaną trójlufkę: $\frac{20 \times 20}{65 - 40}$, waga takiej broni waha się od 3,000 do 3,100 kilogram, a więc równa się wadze normalnej dwunastki. Użyteczną i dobrą może być też trójlufka: $\frac{16 \times 6}{303}$, o wadze 3,100 — 3.200 kgr., bez lunety. Takiej broni mogliby używać myśliwi, dla których waga broni jest obojętną, albo mający jakieś wątpliwości co do mniejszego kalibru, jednak mogę ich upewnić swą wieloletnią praktyką, że ich obawy w tym względzie są płonne.

Kaliber 12 dla trójlufki, jako zbytnio obciążający takową, uważam za zgoła niepraktyczny i dlatego wykluczam. Długość luf tej kombinowanej broni waha się między 26" i 27" t. j. 66 ctm. — $68\frac{1}{2}$ ctm. Gdy

się ma do zmiany dwie trójki lufek, jak to mi na specjalne zamówienie w 1912 roku zrobił Nowotny, z których jedna trójka $\frac{20 \times 20}{6{,}6 - 58}$ była z półczokami, a druga $\frac{20 \times 20}{6{,}6 - 58}$ z paradoxe'ami, to już mamy problem w zupełności i ostatecznie rozwiązany.

Taką bronią rozporządzając, można największego niedźwiedzia lub starego rogala - łopaciarza łosia trupem na miejscu położyć, jak również z najlepszym skutkiem wszelką drobną zwierzynę strzelać cienkim śrutem, a więc słonki na ciągach, dubelty, kszyki, bekasiki i wreszcie przepiórki.

Posiadając taką doskonale dopasowaną świetną, solidną, pierwszorzędnej marki Fr. Wil. Heym'a lub J. Nowotnego trójlufkę, mamy szerokie pole do popisu i możemy stosować kulę przy każdej nadarzającej się sposobności, o co właśnie chodzi. Tą drogą specjalizujemy się i z czasem dochodzimy do znakomitych, nieraz fenomenalnych rezultatów.

Zwykle nie ma potrzeby poprawiać z lewej lufy do zająca w pełnym biegu lub do głuszca na tokowisku, gdyż one są czysto zabite z dolnej lufki kulką. W ręku rekordowego strzelca robią się z trójlufką takie cuda, o jakich laicy nie mają pojęcia, ściąga się głuszce albo cietrzewie z czubka niebotycznego dwudziestosążniowego (10 stóp) modrzewia lub sosny, stojących po drugiej stronie wąwozu — parowu t. zw. „łogu".

O takim strzale z broni śrutowej, nawet z tak przed rokiem forsownie reklamowanego Midlanda, który spowodował polemikę, ani się ważyć, nie narażając się na śmieszność. Sławny na całą Syberję i na Zachodzie znany rekordowy strzelec, sportowiec Konstanty Iwanicki z Tomska, właściciel bogatych kopalni złota, którego dobrze znałem i o którym wspomina prof. Ferdynand Ossendowski na 300-ej stronicy swego może przesadnego, lecz w każdym razie ciekawego dzieła „Wśród ludzkiej i leśnej kniei", swemi fenomenalnemi kulowemi strzałami rzeczywiście dokazywał cudów, ale o tem potem.

To też wolę zrobić jeden efektowny strzał kulowy poza dosięgalnością najdalszego śrutowego, niż serję z dziesięciu normalnych śrutowych. Ile niewysłowionej satysfakcji, ile rozmaitych refleksji i rozmyślań, ile barwnych miłych wspomnień, których na długie życie starczy, dają takie strzały dla sportowca - riflmena, ocenić to zdoła tylko ten, kto nosi w sobie iskrę Bożą przez św. Huberta natchnioną, miłośnik tajemnic Matki Przyrody i Łowiectwa w jego najszlachetniejszem pojęciu i znaczeniu.

Tą właśnie, a nie inną drogą, idźmy śmiało i prosto „ku nowym horyzontom myśli łowieckiej", niech nam ona przyświeca, jak nieomylny drogowskaz, niech nam zawsze będzie jasną myślą przewodnią.

Bohdan Grzymała Przecławski.

Helenowo, w grudniu 1925 r.



O UDOMOWIENIU DROPIA.

Sprawa udomowienia pożytecznych gatunków dzikich zwierząt i wychowu ich w warunkach przeciętnej gospodarki człowieka, zaprząta coraz bardziej umysły nietylko licznej rzeszy biologów-doświadczalników, lecz w równej mierze i szerokie warstwy praktyków hodowców. Jednym z takich zagadnień, posiadających praktyczne znaczenie dla naszego kraju, jest bezwątpienia sprawa udomowienia dropia.

Dropie należą do rzędu największych ptaków europejskich i zarówno z budowy, jak i sposobu zachowania się, najbardziej przypominają duże gatunki kurowatych. Skutkiem tego do niedawna zaliczano je do rzędu grzebiących. Dopiero po bliższem zapoznaniu się z tymi olbrzymami, wydzielono je do grupy Grallatores. Dropie (Otis tarda) dosięgają bardzo poważnych rozmiarów i mogą zaimponować swym wyglądem: samiec około metra wysokości i tyleż

długości, waży nieraz z górą 15 — 18 kg. Samica znacznie mniejsza. Ptaki te odznaczają się bogato rozwiniętą muskulaturą piersi i nóg, trzema palcami na stopie i silnemi skrzydłami. Drop chętniej biega, niż lata. Do lotu zrywa się powoli, natomiast ścigany przez psa myśliwego, liczy więcej na swe długie i mocne nogi. Opierzenie ma dość zwarte „dzikiej" barwy, które urozmaicają u samca brunatno-rdzawe piórka na szyi i w skrzydłach i czarne prążki na grzbiecie. Nadto po obu stronach dzioba idą długie piórka — wąsy, które stanowią charakterystyczne upiększenie samca, co wyróżnia go od samicy, która jest opierzona skromniej, jak również i młode przed okresem ostatecznego pierzenia się.

Zazwyczaj dropie chodzą powoli, podobnie jak indyki. W razie nagłego niebezpieczeństwa, padają wprost na ziemię i wyciągają szyję. Dropie zamieszkują bezleśne tereny środkowej i południowej Europy. Stepy południowej Rosji, równiny Bessarabji oraz Wołynia i Podola, są najbardziej ulubionemi miejscami tych olbrzymich ptaków. Niejeden z myśliwych „dybał" w tych okolicach na życie wolnego dropia, który, mówiąc nawiasem, wielu z nich „wyprowadził w pole", dzięki swej wrodzonej czujności i niezwykłej ostrożności. Tylko przy specjalnych zabiegach i podstępach udaje się myśliwemu uśpić czujność tego ptaka.

Dropie karmią się zieleniną, okopowiznami, owadami, oraz ziarnem. Przynoszą one pewną korzyść, gdyż zjadają dużą ilość szarańczy, koników polnych i t. p. szkodników. Żyją w monogamji, chociaż w niewoli samiec chętnie obcuje z kilkoma samicami. Samica znosi zaledwie 2 — 3 rzadko 4 lub 5 jaj, o zielonkawo-brunatnej skorupie, z ciemniejszemi plamkami i centkami. Gniazda wcale nie robi, jeno dołek w ziemi, wśród zboża i wyściela go prowizorycznie źdźbłami traw i piórkami. Wysiaduje tylko samica przez 4 tygodnie, samiec po okresie tokowania, nie troszczy się o samicę, zato chętnie chodzi z pisklętami, które karmią się przeważnie owadami i zielenią. Dropie łatwo oswoić. Nie bacząc na swą dzikość nawet stare sztuki przyzwyczajają się do człowieka. Najlepiej jednak podłożyć jaja dropie pod kurę lub indyczkę. Wówczas małe oswajają się znakomicie i rozmnażają w niewoli, stwierdziłem to osobiście. w czasie bytności na południu Rosji. Sądzę, iż należałoby zwrócić uwagę na te ptaki i korzystając z nadchodzącego okresu wiosennego (kwiecień — maj), zaopatrzyć się w jaja dropi, wreszcie wszelkiemi innemi drogami zająć się udomowieniem tych ptaków. Mam wrażenie, iż nieśność samic dropia w niewoli można znacznie zwiększyć. Należy jednak pamiętać, iż dropie lubią swobodę, więc nie należy ich chować w zamknięciu, lecz dać im dostateczny



Nosił wilk razy kilka...

wybieg. Karmić je dość łatwo: lubią kapustę, marchew, brukiew, otręby tłuczone, ziemniaki, jęczmień, pszenicę, gotowane mięso, twaróg, mrówcze jaja, siemię konopne i t. p. Do niedawna hodowla strusia zdawała się być niemożliwą i udomowienie tego ptaka było nie do pomyślenia, a dziś istnieją tysiące farm, trudniących się hodowlą strusia afrykańskiego oraz Nandu, nietylko w Afryce i Ameryce, ale również w Europie środkowej. Dlaczegóż nie moglibyśmy udomowić dropia, który jest bliskim zagłady? Polska hodowla ptactwa jest jeszcze w kolebce i możliwości przed nami są olbrzymie, więc próbujmy, zdobywajmy własne doświadczenie, nie czekając wzorów z Zachodu.

M. Trybulski.





Przegląd naszych ptaków drapieżnych.

ZNACZENIE PTAKÓW DRAPIEŻNYCH DLA GOSPODARSTWA ROLNEGO I ŁOWIECKIEGO

Utarło się ogólne mniemanie, które, niestety, podziela olbrzymia większość myśliwych, że każdy ptak drapieżny jest szkodnikiem, którego należy nietylko strzelać na polowaniu, ale wogóle tępić wszelkimi możliwymi sposobami. Do powszechnie znanych reguł łowiectwa należy i ta, która mówi, że im więcej będziemy tępić drapieżniki, tem lepszego zwierzostanu się dochowamy. Reguła ta jest tak silnie zakorzeniona, że większości myśliwych i hodowców bardzo trudną jest rzeczą wytłómaczyć, że zabijanie dziesiątków i setek ptaków drapieżnych niema wpływu na zwierzostan i że raczej przeciwnie, wpływa nań ujemnie.

A że tak jest istotnie, na to mamy cały szereg dowodów.

Każdy, kto bywał w okolicach mało zaludnionych na tych obszarach ziemi, gdzie człowiek nie wycisnął jeszcze na dziewiczej przyrodzie piętna swej kultury, każdy musiał zauważyć tę ogromną ilość ptaków drapieżnych, które spotyka się tam na każdym niemal kroku. Mniejsza lub większa ilość gatunków daje się widzieć wszędzie, czy to w stepach, czy lasach, czy też górach. Dotyczy to w równej mierze wszystkich części świata, wszystkich zakątków ziemi. Im mniej człowiek naruszył równowagę przyrody, tem ptaków drapieżnych, tak samo zresztą, jak drapieżników czworonożnych, spotyka się więcej. Człowiek nie znosi konkurencji, a uniesiony rządzą panowania i opanowania przyrody, tępi zarówno istotnych, jak i domniemanych konkurentów. Poza tem i tutaj, jak zresztą wszędzie, pod błyskotliwym płaszczem kultury, kryją się najpierwotniejsze instynkty — żądzy walki i zabijania. O instynktach tych mówić nie lubimy i dlatego staramy się przyświecać im pochodnią cywilizacji, w mniemaniu, że blask tej pochodni je przyćmi. Oszukujemy sami siebie i na tem oszustwie wychodzimy fatalnie. Przyrody oszukać się nie da, a naruszenie równowagi w niej panującej, wydaje zawsze fatalne rezultaty.

W dziewiczych obszarach lądów, tam, gdzie zarówno w powietrzu, jak i na ziemi panują niepodzielnie ptaki drapieżne, zdawałoby się, że powinno panować ubóstwo wszelkiej zwierzyny. Tymczasem jest odwrotnie! Każdy, kto polował na dzikich obszarach, wie dobrze, z jaką ilością zwierzyny spotkać się tam można. A więc najwidoczniej nie drapieżniki są tym czynnikiem, który reguluje mniej lub więcej obfite występowanie pewnych gatunków zwierząt łownych. Czynnikiem tym jest przedewszystkiem człowiek.

O stosunku drapieżników do zwierzyny łownej w krajach dzikich, lub słabo opanowanych przez kulturę człowieka, wspomniałem dlatego, żeby z góry uniknąć zarzutu, stawianego często ludziom, teoretycznie rozstrząsającym jakąś sprawę, że w rozważaniach swoich entuzjazmując się zbyt do przesłanek teoretycznych, zapominają o tem, co dzieje się w naturze. Zwracam na to uwagę tych, którzy chętnie powtarzają paradoks, że „teorja i praktyka, to dwie różne rzeczy“, uważając cytowanie go za argument rozstrzygający.

Już staranne obserwowanie ptaków drapieżnych na łonie przyrody wskazuje, że cały szereg ich gatunków przynosi człowiekowi raczej pożytek, aniżeli szkodę. Niejeden myśliwy miał bezwątpienia sposobność obserwowania w zimie stadka kuropatw, które zachowywały się najzupełniej swobodnie, pomimo, że na stojącym w pobliżu stogu wypoczywał kosmacz północny. Każdy, kto przyglądał się po żniwach żerującym na polach pustułkom, widział, jak różne drobne ptaszki (skowronki, zięby, trznadle) bezpiecznie, nie atakowane zupełnie, przelatywały w po-

bliżu tych drapieżników. Już takie obserwacje wskazują nam na to, że nie wszystkie ptaki drapieżne żywią się drobnemi ptaszkami i zwierzyną łowna. Szczegółowe zaś badania zawartości przewodów pokarmowych ptaków drapieżnych usuwają pod tym względem wszelkie wątpliwości. Podkreślić przytem trzeba, że badania te nie ograniczają się do zbadania jednego lub kilku osobników danego gatunku; przeciwnie, dziesiątki i setki ptaków były i są badane przez uczonych i dopiero na zasadzie tak licznych sekcji ustalono sposób ich odżywiania się. Po tych wstępnych uwagach rozpatrzmy w porządku systematycznym nasze ptaki drapieżne i zwracając uwagę na ich znaczenie dla gospodarstwa rolnego i łowieckiego.

S ę p y *(Vulturidae)*, jak wiadomo powszechnie, żywią się padliną, są więc ptakami bezwzględnie pożytecznemi. Dotyczy to w każdym razie tych dwóch gatunków, które występują w obecnych granicach naszej Rzeczypospolitej.

R y b o ł ó w, jedyny przedstawiciel rodziny *Pandionidae*, żywi się rybami i w gospodarstwach rybnych czyni szkody. Tam jednak, gdzie niema prowadzonych gospodarstw rybnych, winien być ochraniany, jako ptak, któremu grozi wytępienie.

O r ł o s ę p b r o d a t y, przedstawiciel podrodziny *Gypaetinae*, jest ptakiem pożytecznym, żywi się bowiem padliną. Jeśli czyni pewne szkody w łowiectwie, to takowe nie powinny być brane pod uwagę, już chociażby z tego względu, że ptak ten w Europie należy do gatunków, którym grozi wyginięcie.

K r ó t k o s z p o n (podrodzina *Circaetinae*), jest dla łowiectwa ptakiem obojętnym; dla rolnictwa jest ptakiem pożytecznym ,zjada bowiem owady, oraz drobne ssaki, będące przeważnie szkodnikami. Zasługuje na bezwzględną ochronę już choćby z tego względu, że tępi żmije.

P s z c z o ł o j a d (podrodzina *Perninae*) jest ptakiem bezwzględnie pażytecznym ze względu na tępienie owadów. Drobne szkody, jakie czyni przez przypadkowe raczej zjadanie jaj i drobnych ptaszków, wobec pożytku, jaki przynosi, nie wchodzą w rachubę. Winien być bezwzględnie ochraniany.



Chodził lis koło drogi...

Ł o m i g n a t b i e l i k (podrodzina *Haliaeetinae*), ze względu na tępienie zwierzyny łownej i ryb jest dla łowiectwa i rybactwa szkodliwym. Powinien być jednak ochraniany, jako jeden z zabytków przyrody, tembardziej, że obecnie ze względu na swą rzadkość, wielkich szkód wyrządzać nie może.

(D. c. n.). *Janusz Domaniewski.*

NASZE BŁOTNIAKI.

(Monografje myśliwskie)

(Dokończenie).

* * *

W ostatnim odcinku monografji „Błotniaka“ opuszczono cały ustęp do opisu błotniaka zbożowego. Winien on brzmieć:

Mniej szkodliwym, ale mimo to zasługującym na strzał, jest nasz błotniak zbożowy, albo polowy (circus cyaneus i pygargus), przez lud często „szulakiem“ nazywany. Stanowi on jeszcze wyraźniejsze przejście od drapieżców dziennych do nocnych, co poznać po twarzy, otoczonej, jak u sów tak zwana szlarą, utworzoną z kilku rzędów drobnych, jaśniejszych, gęsto ustawionych około oczu, piórek.

Latem krąży ponad polami nisko, lotem nierównym, ale stosunkowo dość szybkim i uderza co chwila na ziemię na domniemaną lub upatrzoną zdobycz, którą stanowią: myszy, susły, chomiki, niekiedy jaszczurki i żaby, ale często także i przepiórki, młode kuropatwy i bażanty, a nawet zajączki. Nie gardzi również i martwym łupem... Kurczęta lub kaczęta porywa zręcznie, o ile je zoczy w polu

w większem oddaleniu od domostwa. Żadne wogóle zwierzątko drobne i słabe nie może się przed nim ostać. Zdobycz pożera zaraz na miejscu, to znaczy, nie unosi jej bez potrzeby w szponach.

Chociaż na oko jest duży, budowę ma jednak wątłą. Pozorną wielkość dają mu długie skrzydła i długi ogon.

Z wierzchu jest ciemno-bronzowy, z jaśniejszą głową od strony dzióba, jaśniejszym karkiem i spodem ciała, na którym widać gęsto rozsiane podłużne bronzowe płomyki. Nogi okrywają do połowy skoku, nie wiele poniżej pięty, puszyste, znaczone podłużnie, spodnie. Ogon posiada długi poprzecznie znaczony brunatnemi i czerwonemi naprzemian pręgami.

* * *



Błotniak zbożowy.

Samica lata mniej wytrwale. Piękny ten ptak, unoszący się dnie całe w powietrzu, przyczynia się niemało do ożywienia monotonji stepowego krajobrazu, a oświetlany co moment inaczej jaskrawemi promieniami słońca, robi wrażenie ptaka, ulanego ze srebra. Tem bardziej zaś interesuje sobą, że przyzwyczajeni jesteśmy do widoku skrzydlatych drapieżników o ciemnem zawsze upierzeniu.

Na nocny spoczynek obiera sobie błotniak popielaty środek łanu i śpi na ujętych w szpony źdźbłach zboża, z któremi spada na ziemię, bo go unieść nie mogą; niekiedy sypia na miedzy lub kretowinie ,rzadziej na polnym krzaku. lub w trzcinie. Jest bardzo płochliwy i dlatego podejść się nie da, a strzelić go można tylko przypadkiem, gdy się go zejdzie siedzącego na trawie i ucztującego, albo z zasadzki.

Gniazdo buduje z chróstu, z suchych traw i mchu. Jest duże i niezgrabne. Zakłada je zawsze w zbożu, w trawie lub na brzegu moczaru. Znaleźć je trudniej, niż gniazdo błotniaka stawowego, bo wybiera miejsca odludne.

W drugiej połowie maja znosi samica 4 — 5 jaj białych, niekiedy rzadko nakrapianych, bez połysku; są większe od gołębich. Do młodych przywiązują się stare tak bardzo, że jakkolwiek z natury płochliwe, narażają się dla ratowania dzieci na największe niebezpieczeństwa. Na legawca uderzają z góry, strosząc pióra i wysuwając długie nogi z nastawionemi szponami... Przytem wydają głos piszczący, podobny do głosu błotniaka stawowego.

Błotniak popielaty żywi się wszystkiem, co skacze, biega i siedzi na ziemi. Najchętniej poluje na susły, chomiki, nornice i żaby. Porywa jednak młode zające i spada na przepiórki i kuropatwy.

Jest jednak, wziąwszy ogólnie, więcej pożyteczny, niż szkodliwy i dlatego, a także ze względu na swą. rzadkość, piękność upierzenia i malowniczość lotu, nie powinno go się bezwzględnie wytępiać.

Jeśli błotniak stawowy, jako groźny wróg kurzego rodu i szkodnik niewątpliwy, zasługuje zawsze na strzał, powinien błotniak popielaty znachodzić w sercu przyrodnika-myśliwego łaskę i przebaczenie.

Wszystkie błotniaki odnoszą się z wielką nienawiścią do swego wroga, do mocarza nocy, do puhacza. Ujrzawszy go, uderzają na niego zapamiętale dzióbem i szponami, jeżąc pióra i wyciągając ku niemu swoje długie nogi. Zacietrzewienie to pozbawia je nawet wrodzonej ostrożności; zajęte wyłącznie tylko puhaczem, zdają się nie widzieć zbliżającego się myśliwego. Przypuszczam, że chcą raczej zwrócić jego uwagę na śmiertelnego wroga wszystkich wogóle stworzeń.

Zdążając w pewnym dniu jesiennym do stawu w Jużyńcach, zauważyłem, że kilka błotniaków stawowych i popielatych żywo krążyło nad jednem miejscem, zakrytem zagonem kukurydzy, i raz po raz uderzało na coś siedzącego na ziemi, czego narazie dojrzeć nie mogłem. Wśród tych pomniejszych drapieżców zauważyłem także sokoła wędrownego. I on opuszczał się wspaniałemi łukami ku ziemi, a uderzywszy na coś, odlatywał później równym lotem daleko, by za chwilę, zatoczywszy piękne koło, spaść znowu na przedmiot swojej troski...

Skierowałem się więc w stronę tego niezwykłego sejmiku. Zaledwie jednak przeszedłem wpoprzek zagonu kukurydzy, gdy nagle prawie z pod nóg zerwał się ogromny puhacz. Rozwiązałem zagadkę...

Tak byłem jednak obecnością tego zbójnika zaskoczony i zdziwiony, że nawet nie strzeliłem, mi-

mo że przedtem strzelbę przezornie nabiłem. Sokół wyniósł się już wcześniej i odleciał, a błotniaki ruszyły wszystkie ławą za puhaczem, bijąc go skrzydłami, piszcząc przeraźliwie i ścigając daleko, bo aż na drugą stronę stawu. Po chwili znikła cała ta piskliwa gromada z oczu.

Polowanie z puhaczem na błotniaki daje zawsze najlepsze rezultaty. Należałoby je tylko urządzać na wiosnę i w pobliżu stawów, na których lubią się gnieździć błotniaki stawowe. Możnaby je w ten sposób najlepiej i najprędzej wytępić. Strzeliłoby się także z budki i niejednego gołębiarza, albo nawet sokoła wędrownego, coby było bardzo wielkim sukcesem w dziedzinie racjonalnej gospodarki łowieckiej.

Władysław Gürtler.

Rzeszów, we wrześniu 1925 r.

Czy możliwem jest krzyżowanie się zajęcy z królikami?

W „Rocznikach Nauk Rolniczych i Leśnych" (organ Tow. Popierania Polskiej nauki rolnictwa i leśnictwa) p. J. Dubiski zdaje nam sprawę w „Przeglądzie literatury naukowej" z ciekawych badań pp. linshin Yamane i Tsunezo Egasbira nad próbami krzyżowania królików (Lepus cuniculus) z bielakami (Lepus timidus ainu Barr Ham.).

Liczne doświadczenia wykazały, iż dzięki wzajemnej wrodzonej odrazie łączenie się królików z zającami normalnie niema miejsca. Niezależnie od tego czynnika psychicznego stoi na przeszkodzie czynnik fizyczny w postaci dużej różnicy długości tylnych odnoży.

Nawet gdyby naturalne połączenie wyjątkowo nastąpiło, należy uważać za wykluczoną możliwość zapłodnienia jaja królicy przez gatunkowo obcą spermę zajęczą.



NA NIEDŹWIEDZIA!

(Wspomnienie przedwojenne).

Rzetelnie pito tego wieczoru w oficerskim kasynie Eńskiego pułku gwardji carskiej w Petersburgu. Śród grona kolegów — „myśliwskiego autoramentu" — toczyła się na łowieckie tematy nader ożywiona rozmowa. Jeden z uczestników, po powrocie z ostatniej wyprawy „na niedźwiedzie" odbytej w tajdze Ołonieckiej — szeroko się rozwodził o możliwości bardzo nieraz niebezpiecznych „komplikacji"—przy spotkaniu z tego rodzaju zwierzyną.... „A ja wam mówię — bzdury! — moi Panowie!" — wtrącił swe trzy grosze typowy podpułkownik sztabu generalnego, Borys Mikołajewiczem zwany przez kolegów pułku, w którym dowodził bataljonem. „Zrulować zająca lub niedźwiedzia — jedno i to samo, gdy się ma wprawę w strzelaniu! — Ja naprzykład, który w Krasnym-Siole otrzymywałem trzy lata z rzędu nagrodę za strzelanie z karabinów do tarczy — gotów jestem pójść o zakład, że „miszka" nie obejrzy się nawet, a już martwym u nóg moich leżeć będzie. Grunt zimna krew i spokój! Chociaż nie lubię podobnie głupiej i bezcelowej zabawy, jaką jest polowanie — nigdym niedźwiedzia żywego, wykluczając w ogrodzie zoologicznym — nie oglądał! — lecz pewien jestem natomiast nieomylności zasad „balistyki", którą gruntownie posiadam. — Linja celowania i trajektorja strza-

łu, albowiem są zawsze jednakie odnośnie do królika, jako też lwa lub tygrysa. Nauka się nie myli!— Powtarzam i założyć się jestem gotów na dowolną ilość butelek szampana, że pojadę „sam“ i wrócę z niedźwiedziem z mej ręki poległym“.

Przyjmujemy zakład! Aj! da! „mołodiec połkownik“! [1]) — odezwało się kilka już nader „ukonsolowanych“ głosów.

Nie dalej, jak dzisiaj, zadepeszuję do starego Jermoljewa „okładczyka“ [2]) z Ołonieckiej guberni, czy też ma gotowe, wytropione okazy „zwieri“ na „barłogach“ (gawrach), — dorzucił szykowny dowódca 1-szej kompanji, kapitan W.

Brawo! brawo! — stawiamy każdy po rubli sto! — Więc rzecz umówiona! — po otrzymaniu odpowiedzi od Jermoljewa — pułkownik wyjeżdża sam. Zobaczymy, jak spisze się Sztab generalny! A tymczasem dla uczczenia solennej chwili, osuszymy jeszcze kilka „flakonów“. Lecz już przy akompanjamencie orkiestry pułkowych trębaczy, oraz chóru „bałałajeczników-pieśniarzy“ — nieprawdaż, kochani koledzy! — wykrzyknął adjutant pułku, porucznik K. „Żywo! Konowałow! Petrenko! — lecieć zaraz piorunem! po muzykantów i „piesienników“ — z rozkazu dowódcy bataljonu!“ — Powiedziano! — Zrobiono!....

Do samego rana trwała homeryczna „istinnorosyjska“ zabawa przy sutych libacjach!

* *
*

Stary Jermoljew, szeroko znany pogromca niedźwiedzi i „okładczyk-tropiciel“ — ze zwykłą dla „starowierów“ [3]) gościnnością spotkał i przyjął w swej izbie — walecznego sztabowca. Odrazu zauważył jednak trwożliwy wielce charakter zapytań i badań, co do techniki i przebiegu polowania na barłogu. „A jeśli czasem ranię tylko zwierza? — wtedy?“ — indagował nasz bohater. „Ponieważ ja i mój syn, Petia, będziemy, jak zwykle, stać ze swemi „rohatynami“ przed Tobą [4]) o jakie parę kroków przed otworem barłogu, więc w razie czego, jeśli „zwier“ się rzuci na ciebie — to my go „przyjmiemy“ na ostrza swych pik — zatrzymując go! — A wtedy! — Ty walaj! w ucho! i basta!“ „A jeśli i wtedy nie trafię?“ „Jakto? — o parę kroków?“..

Złożona z ryb wybornych, pierogów grzybowych suta wieczerza... następnie niezbędny odpoczynek w „paradnej świetlicy“... Lecz jakoś kompletny brak snu nie mógł ukoić do szczętu rozklekotanych nerwów rycerza.... „Jermoljew! a, Jermoljew!“ — o drugiej już godzinie w nocy, budził ze świecą w ręku, w negliżu wielkim będąc, nasz pułkownik — gospodarza domu. — „Ja tak źle się czuję! — przyjadę do ciebie... za jaki tydzień!... dobrze? — jutro zaś czut świt z powrotem na kolej! — brr! — jak mi niedobrze!“ „Oho! „barin“ trusit!“ [1]) — nabrał już przeświadczenia stary wyga. Żal mu się zrobiło próżnych wszelkich przygotowań, zapłaconych 25 rubli za barłóg w leśnictwie rządowem — trudów własnych i korzyści z udanego polowania. „Ależ, barin, bądź spokojny, z nami żadnego niebezpieczeństwa być nie może! — My nie okładczyki z okolic Pitra, — co to z scyzorykiem, jako ochraniacze obok myśliwego stają! — nie bój się!“ „Ależ ja się bynajmniej nie boję! — Oficer Sztabu generalnego nigdy się nie boi! — pod Laojanem i Wafangou przecież byłem!“ „Laojan — Laojanem! — a niedźwiedź — niedźwiedziem“! — filozoficzne rzucił stary mużyk — „ot, co tylko barin, jak zobaczysz, że głowa zwiera zamajaczy w otworze — nie czekaj! — strzelaj! — sztucer masz waaażnyj! — łupniesz i koniec będzie! — zwycięzcą do stolicy powrócisz! — znajomi wszyscy podziwiać będą! — wot mołodiec połkownik!“... Przekonał, niestety, nareszcie!

* *
*

Ustanowiwszy na nartach naszego Borysa Mikołajewicza, który pojęcia zielonego oczywiście nie miał o posługiwaniu się niemi—wziąwszy go z obydwóch stron „pod pachy“ — przeholowali nareszcie ojciec z synem na odległość paru kilometrów oddzielających „barłóg“ od miejsca wyładowania się z sań. Przed czołowe ujście gawry, do reszty ogłupiały wojownik dał się biernie podsunąć przez swych przewodników.

„Nu, teraz będziemy budzić zwiera“ — oświadczyli okładczyki, najeżając swe śmiercionośne rohatyny. „Pilnuj dobrze!—gdy głowa ukaże się tylko— walaj!... „Zaczynamy! z Bohom!“... Zimny pot oblał pułkownika... włosy dęba stanęły!... mgła oczy zaćmiła!... „Miszka, wstawaj! — a, wstawaj, miszka!“—Nic!... milczenie i cisza!... fuknięcie niezrozumiałe z pod ziemi jakieś?... znów spokój bajeczny... Tylko kwilenie nieznanego gatunku sikorki... spadniecie ze świerczyny płatku śniegowego... Rycerzowi serce zda się bić przestaje.... Raptem! — otwór barłogu — tak zwany „jerik“ — zamroczył się ciemną niedźwiedzią głową... Uszka do głowy przytulone, fosforycznie błyszczące oczy — z niepokojem wypatrywały drogę, do możebnej ucieczki — gdyż z usposobienia swego „miś“ — ostrożny i tchórzliwy bardzo — ranionym tylko będąc — niebezpieczny się staje — lub, jeśli to niedźwiedzica, w obronie

[1]) Zuch pułkownik.
[2]) Tropiciela.
[3]) Sekta wyznania prawosławnego — rozpowszechniona szeroko na północy.
[4]) Chłopi z północy—„tykają“ bez wyjątku wszystkich—niewyłączając głów koronowanych.

[1]) Tchórzy.

dzieci występująca!... Drugi raz, łeb się wynurzył— strzał nie następuje jednak! Co to ma znaczyć? „Strelaj barin! — strelaj!“ — Nic!... Za trzecim nareszcie wykrzyknikiem! -- bac! — sekunda!... i po strzale z przebitą łapą — niedźwiedź momentalnie szarżuje na pułkownika — jednocześnie będąc zatrzymany pikami mużyków, na których się osadza.... Ryk wściekłości i bólu — krwi szkarłaty na białych puchach! — borykanie się, oczekujących ostatecznego strzału — „pod ucho“ — Jermoljewych — tymczasem — znowu nic!... „Strelaj! — bo puścim zwiera! — gorzej będzie! — nie utrzymamy dłużej! — strelaj!“... Cisza! „Do stu djabłów! — trzymaj sam Piet‘ka!“ — i stary Jermoljew rzuca swą rohatynę — podskakuje do zamienionego literalnie w statuę lodową ze zgrozy,— mówiąc poprostu ze strachu — Borysa, syna Mikołaja... Cała postać tego ostatniego, blada jak kreda twarz — odtwarza zaiste scenę Don Bartola z Cyrulika Sewilskiego — spowodowaną zdziwieniem na skutek oddania honorów wojskowych hrabiemu Almawiwie przez wartę, wezwaną do jego aresztowania. Jednem słowem — jak mówią rosjanie „stołbniak naszoł“ — na piotrogrodzkiego sztabowca!.... Natenczas, mużyk, widząc, że nic nie wskóra z podobnie niefortunnym łowcą — sam własnoręcznie ze zdrętwiałą, trzymającą sztucer ręką, podnosi osobiście już broń i przykładając prawie że bezpośrednio do głowy niedźwiedziej lufy expressu — naciska cyngiel. Pada strzał. Szmatą bez życia, unieruchamia się na wieki, zanurzając swe cielsko w śnieg głęboki groźny przed chwilą puszcz północy król i władca. „Z polem barin! pozdrawlaju! — Lecz dosyć! — drugim razem — nawet za trzy tysiące rubli z tobą na niedźwiedzie nie pójdę! — basta! — A teraz winszuję! — no można i do domu“ — i to jak najprędzej! — A później na kolej! — i do Pitra! — z którego nie radzę prędko wyjeżdżać!“

* * *

W parę tygodni później byłem sam „na niedźwiedziach“ u tegoż samego starego Jermoljewa, gdzie padła z mej ręki w odmiennych nieco oczywiście warunkach bardzo ładna [1]) niedźwiedzica!



MIŚ.

Wieczorem, podczas tradycyjnej rybnej wieczerzy, obficie „czajem“ oblanej, opowiedział mi sędziwy Nemrod tajgi Ołonieckiej o smutnym epizodzie z walecznym pułkownikiem Sztabu generalnego armji carskiej... Na nieszczęście tego ostatniego, po powrocie do Petersburga, trafiłem akurat do kasyna tegoż pułku, podczas kiedy Imć pan Borys barwnie opisywał oficerom — po wygraniu zakładu, szczegóły walki z rozjuszonym „monstrem“!

---

[1]) Trzy niedźwiadki od niej zabrane, chowały się długo w mojej Wierzchowni — w roku 1918 zostały zamordowane i zjedzone przez bandę „towariszczej“ bolszewickich — będąc już kilkupudowemi okazami, w majątku na Podolu niejakiego p. Ksido, któremu je dla chowu ofiarowałem

„Sam jeden byłem! wobec śmierci niechybnej! — wściekła bestja, pierwszym moim strzałem będąc ranioną, jeszcze miała tyle siły żywotnej, że z wywalonym ozorem, przytulonemi uszami, dęba przedemną o trzy zaledwie kroki stanąwszy... już... już miała mię w swe straszne objęcia przyjąć! — potworne pazury w ciało grzeszne zatapiając! — Lecz tryumfator ćwiczeń strzeleckich, oficer wojsk rosyjskich, tembardziej akademik, nigdy głowy nie traci! Mój Holland, leżąc spokojnie na mej lewej dłoni — skierował się błyskawicznie „pod ucho“ potwora. Suchy strzał ładunku kordytowego — i runęła bestja!... A tragedja tak łatwo nastąpić mogła“. „A czy naprawdę koniec był podobny do opisanego przez pana pułkownika? — Cokolwiek odmienną o tej wyprawie słyszałem relację od Jermoljewa, u którego byłem w jaki tydzień po panu!“ „Co? co pan powiada? Ten stary plotkarz! Ależ to znany kłamca zawodowy! — Nu, nu!— hołubczyku!“ — biorąc mię po przyjacielsku pod ramię i starając się gwałtem na stronę odprowadzić — wykrztusił dygnitarz pułkowy, nie mało zakłopotany. — „Niech to tylko pomiędzy nami pozostanie — owe „spletnie“. „Zgoda, pułkowniku, lecz pod warunkiem, że dzisiejsza naracja sz. pana będzie też i ostatnią — bez wydań następnych! nigdzie i nigdy!... inaczej będzie źle!“.... Epilog ten, zapewne nie umorzył jednak ziarna niepokoju w duszy chrobrego wojaka, chociaż milczałem jak zaklęty. Pióro dopiero i żyłka literacka wydały wszystko — anonimowo oczywiście — względem bohatera opowiadania.

Adam hr. Rzewuski.

NAJGRUBSZA ZWIERZYNA.

2

Od końca kwietnia, do pierwszych dni czerwca, wieloryby, dążąc ku północy, płyną wzdłuż wybrzeży Alaski. Dla tuziemców jest to od wieków dorocznem świętem. Małe chłopaki, nasłuchawszy się ciekawych opowieści, marzą tylko o tem, by kiedyś wziąć udział w wyprawie. Nie, żeby była lekką! Niejeden łowiec stracił w niej zdrowie lub życie. Szczególniej dawniej, gdy jedyną bronią zaczepnoodporną był harpun, z drzewa, fiszbinu i kości wiązany rzemieniami. Rzucało się go zbliska, by siła pędu w locie nie osłabła. Nigdy nie zabijał odrazu. Tkwił jak dziecinna zabawka w karku olbrzymiego zwierza, liną połączony z oomiakiem łowców. Wieloryb nurkował w głębię, to znów umykał, jak strzała, wlokąc za sobą łódź dziesiątki mil. Czasem nawracał i ciosem ogona łódź i ludzi wyrzucał w powietrze. Starano się go dobić, miotając nowe harpuny. Morze czerwieniło się krwią.

Walka trwała nieraz parę godzin; wynik bywał różny. Ale co za tryumf, gdy wreszcie zamarłe już cielsko wleczono ku wybrzeżu, i rzemieniami umocowywano je do lodowych brył. Kamienne i kościane noże szły w ruch, a żony zwycięzców coprędzej malowały sobie twarze w podłużne pasy, na znak czci dla mężów i szacunku dla poległego olbrzyma.

W końcu ubiegłego stulecia charakter łowów nieco się zmienił. Cywilizacja wprowadziła w użycie harpuny, opatrzone dynamitowym nabojem, które, rzucone wprawną ręką, zadają ciężkie rany. Wieloryb zwykle kryje się pod wodę, ale osłabiony upływem krwi, prędko się wynurza; ludzie czatują już nań, i zdaleka, bezpiecznie, ślą nowy pocisk.

W ten sposób niebezpieczeństwo samych łowów zmniejszono niemal do zera; pozostał jednak surowy, groźny i pełen niespodzianek klimat. Nagłe odwilże i zamiecie lub burze, równoważą szanse zwierzyny i łowców. Ryzyko jest dla obu stron niemal jednakie. Piekielny mróz, lub napór lodowatych brył, równie dobrze jak proch i żelazo noszą w sobie śmierć. To też wyprawa na wieloryby u wybrzeży Alaski, wciąż jeszcze pozostała sportem; krwawym sportem o nieobliczalnych wynikach.

Cała wieś patrzyła pilnie w stronę morza. Słuchano także, czy nie ozwie sie huk pękających lodów. Ale po chwilowej uldze mróz rozhulał się znowu, i pewnej majowej nocy, termometr doszedłszy do 58 stopni, pękł.

Wreszcie Elinor, obdarzona, jak wszyscy eskimosi, nieprawdopodobnym wprost wzrokiem, wybuchła radosną wieścią, lody się kruszą! Kto żyw gnał na wyniosłość pagórków, lub wprost wdrapywał się na dachy igloo. Dłońmi osłaniając oczy, patrzono w przestrzeń. Bardzo daleko, na horyzoncie niemal, ciemniała nisko zawieszona osobliwej barwy chmura, znak niechybny, że pod nią jest przestwór otwartej wody, czyli, że lody ruszyły.

Łowy więc mogły się już zacząć; przerażała tylko ogromna odległość wody od wioski, czyli od stałego lądu. Wieś bowiem leżała tuż nad brzegiem morza, dalej jednak słała się niezmierna dal lodowych pól, pełna urwistych zwalisk, dolin, wklęsłych głęboko, i jam o postrzępionych wrębach. Zazwyczaj woda otwiera się o pięć, najwyżej dziesięć mil od lądu; tym razem złe duchy zaklęły snać prąd

i wiatry. Lody pękły we właściwym czasie, ale o dwadzieścia przeszło mil od wsi. Że jednak stosowna pora mogła minąć, wspomnienie straszliwie głodnych zim okazało się silniejszem niż obawa trudów i śmierci. Postanowiono zacząć wyprawę natychmiast.

Kobiety i dzieci ruszyły torować drogę. Długiemi włóczniami o kościanych ostrzach macano lód, probując jego mocy. Lodem i śniegiem wypełniano jamy i wyrwy; wygładzano zbyt strome zbocza; rąbano stopnie tam, gdzie szlak biegł prostopadle. Łowy na wieloryba wymagają znacznej ilości przyrządów, które należy przewieźć aż nad sam brzeg otwartej wody. Gdy się bowiem schwyta tą kolosalną zwierzynę, oczywiście nie może być mowy o transportowaniu jej do wioski w całości. Skórę, tłuszcz, mięso, kości i fiszbin, wszystko dzieli się natychmiast na kawały i kawałki; to też obóz łowiecki rozbija się jak najbliżej miejsca, w którem może się ukazać zdobycz.

W ostatnich dniach maja, przy dwudziestu „tylko" stopniach mrozu, karawana myśliwska ruszyła w pochód. Sami mężczyźni; według prastarych przesądów bowiem, kobieta przynosi łowcom nieszczęście. Pani Vallace marzyła o wzięciu udziału w tej wyprawie. Zadanie, z wyżej wymienionych powodów było bardzo trudne; wiedziała o tem. Chwytała się jednak wszelkich sposobów, byle swój plan wykonać. Działała prośbą, namową, przekupstwem nawet. Karmiła wybitniejszych obywateli wioski cukrem, konserwami i wódką. Jimowi, który jako wódz wyprawy, miał w tej sprawie głos decydujący, grała na ambicji. Kpiła, że wierzy w przesądy krajowców.

On twierdził, że wogóle w nic nie wierzy. Natomiast dodawał, że szaleństwem byłoby z jego strony, brać ze sobą istotę względnie słabą. Życie na tej wyprawie jest piekielnie ciężkie. Niebezpieczeństwo grozi co chwila. Bywa bardzo często, że lody ruszą niespodzianie pomiędzy obozem a lądem. Wówczas olbrzymia kra niesie namioty i ludzi w niewiadomą dal. Słońce topi ją pomału; napór innej kry druzgocze krawędzie; cieplejszy prąd pochłania. Wreszcie trzeba się chronić do łodzi. Ale



Myśliwskie śniadanie.

jakże niedostateczną jest osłona wobec wzburzonych fal, mroźnego wiatru i naporu lodowych gór. A głód... a zimno... a niedźwiedzie... Często giną bez wieści pojedyńczy łowcy, lub nawet całe gromady. Tak zginął poprzedniej wiosny młody Apilak i siedmiu jego towarzyszy.

Jim był uparty; nie dał się przekonać. Karawana ruszyła w drogę bez pani Vallace.

(D. c. n.). *Jerzy Marlicz.*



Badanie dobroci ładunków maszynowych fabryki „Pocisk".

Dokonane przez Mińsko-Mazowieckie Towarzystwo Łowieckie.

Mińsko-Mazowieckie Towarzystwo Łowieckie i O. Z., zdając sobie sprawę z obowiązku popierania krajowych wyrobów w dziedzinie myślistwa i pragnąc przytem jednocześnie rozstrzygnąć wątpliwości poszczególnych myśliwych co do wartości w kraju przygotowanych ładunków śrutowych fabryki „Pocisk", postanowiło odbyć próby porównawcze, jakkolwiek praktyczne dane z używania ich

na polowaniach przez szereg członków Towarzystwa już wskazały na ich zalecenie.

Dotychczas największem uznaniem z krajowych cieszyły się ładunki śrutowe, wytwarzane przez Warszawską Spółkę Myśliwską, atoli ładunki te przygotowywane są z prochu bezdymnego Rotweil, niemieckiego pochodzenia i do niedawna przynajmniej, używany był do nich śrut, oraz łuski także obcego pochodzenia.

W ładunkach fabryki „Pocisk" wszystkie części składowe, oprócz prochu bezdymnego, są wytworzone w kraju; ten ostatni pochodzi z Anglji, fabr. Eley, gdyż, niestety, nie posiadamy jeszcze odpowiedniego własnego fabrykatu.

Dla dokonania prób Mińsko-Mazowieckie Towarzystwo Łowieckie i O. Z. wybrało specjalną komisję, w skład której weszli niżej wymienieni członkowie Towarzystwa:

Pp.: ppłk. Zygmunt Piasecki — dowódca 7 pułku ułanów, vice-prezes T-wa; Tadeusz Szarewski—vice-starosta; Wacław Bełkowski — właściciel maj. Nowodwór; Mjr. Bronisław Rakowski — oficer 7 pułku ułanów; Jan Benedykciński — inspektor szkolny, łowczy T-wa; Władysław Zabiełło — dyrektor oddziału Syndykatu Roln. Warsz.

W dniu 28 listopada 1925 r. komisja udała się na specjalnie przygotowaną strzelnicę w obrębie 7-go pułku ułanów, gdzie z odległości 36-ciu metrów oddano szereg strzałów z jednej i tej samej broni z lufy tylko lewej.

Strzelano do zeszytów 100 kartkowych, z papieru normalnego (szkolnego) dla porównania penetracji, oraz do większych tarcz kartonowych, dla porównania gęstości pokrycia.

1) Strzał do zeszytów 100 kartkowych:

ładunkiem Warsz. Spółki Myśliwskiej	66,7	kartek
„ „Express"	53,6	„
„ „Pocisk"	64,6	„

2) Strzał do tarcz kartonowych 50 × 50 c/m.:

ładunkiem Warsz. Spółki Myśliwskiej	29,4	śrutów
„ „Express"	22,2	„
„ „Pocisk"	30,2	„

Strzelano śrutem Nr. 2, o naładowaniu 2,15 grama prochu bezdymnego i 33 gramy śrutu (Express 34 gramy śrutu).

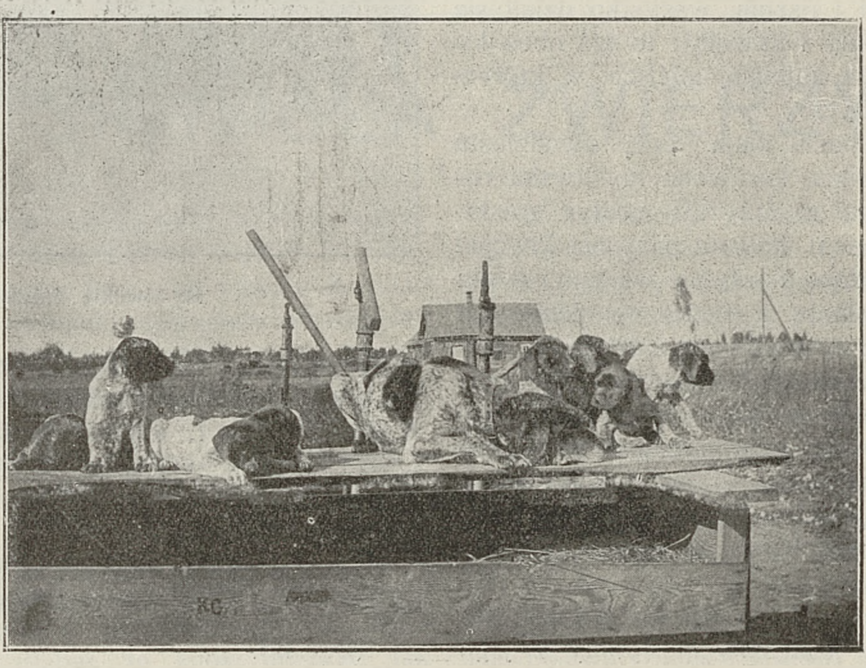
Oddano strzałów przy każdej próbie po 5 (zasadniczo) z każdego gatunku ładunków.

Nadto zauważono, że równomierność rozrzutu z ładunków Spółki jest o wiele więcej zróżniczkowaną, gdyż przy strzelaniu do 6-ciu tarcz (z konieczności), do których pośrodku był przytwierdzony zeszyt, wymiaru 16 × 20 c/m., w tym ostatnim z jednego ładunku znalazł się zaledwie jeden śrut, z innego znów ani jeden. To samo miało miejsce przy dwóch ładunkach „Express", wobec czego musiano strzelić do 7-miu tarcz. Nie zdarzyło się to jednak z ładunkami „Pocisk", z których strzelano tylko do 5-ciu tarcz.

Stąd wniosek oczywisty, że maszynowe ładunki „Pocisk" dały świadectwo największej równomierności wyrobu, co tem więcej potwierdza się, jeśli dodać, że na powierzchni środkowej 16 × 20 c/m. padało przeciętnie 4 śruty w zróżniczkowaniu 2 — 6, gdy z ładunkiem „Express" 3 śruty w zróżniczkowaniu 0 — 10.

Dla orjentacji podajemy niżej tablicę wyników próby co do penetracji.

Prób powyższych dokonano w uzupełnieniu



Zgoda rodzinna.

przedsięwziętych przez Lubelskie Towarzystwo Łowieckie z łuskami „Pocisk“, a to z uwagi na to, iż większość myśliwych nabywa ładunki gotowe i to przeważnie takie, jakie im sklep sprzedający poda.

Wynik badań powyższych stwierdza zatem, że maszynowe ładunki „Pocisk“ conajmniej niczem nie ustępują maszynowym ładunkom Warsz. Spółki Myśliwskiej i mogą być śmiało polecone wszystkim myśliwym z gwarancją całkowicie zadowalającego wyniku, natomiast znacznie przewyższają w dobroci ładunki niemieckie „Express“. Nadto ładunki „Pocisk“ są o wiele tańsze od innych wyrobów, na co należy szczególną zwrócić uwagę.

Stosunkowo niską przeciętną penetrację wszystkich ładunków należy tłómaczyć tem, że strzały oddawane były z broni krótkolufowej, użyto jednak tej broni rozmyślnie, ze względu na to, iż większość myśliwych posługuje się bronią o bardzo przeciętnej wartości, a często nawet mniej niż przeciętnej.

TABLICA WYNIKÓW PENETRACJI.

Warszawska Spółka Myśliwska:

ilość śrutów na powierzchni 16×20 c/m
ilość przebitych kartek.

ładunek 1 $\frac{6}{50}$ $\frac{5}{67}$ $\frac{4}{81}$ $\frac{3}{92}$ $\frac{2}{96}$

ładunek 2 $\frac{7}{50}$ $\frac{6}{56}$ $\frac{4}{62}$ $\frac{3}{64}$ $\frac{2}{68}$ $\frac{1}{70}$

ładunek 3 $\frac{3}{59}$ [illegible]/69 $\frac{1}{72}$

ładunek 4 ani jednego śrutu;

ładunek 5 $\frac{1}{43}$

ładunek 6 $\frac{8}{70}$ $\frac{4}{76}$ $\frac{3}{80}$ $\frac{1}{93}$

„Express“:

ładunek 1 $\frac{3}{58}$ $\frac{2}{59}$ $\frac{1}{60}$

ładunek 2 $\frac{2}{58}$ $\frac{1}{59}$

ładunek 3 $\frac{3}{57}$

ładunek 4 ani jednego śrutu;

ładunek 5 ani jednego śrutu;

ładunek 6 $\frac{10}{44}$ $\frac{9}{47}$ $\frac{7}{51}$ $\frac{6}{56}$ $\frac{5}{62}$ $\frac{4}{67}$ $\frac{3}{78}$ $\frac{2}{85}$

ładunek 7 $\frac{3}{35}$ $\frac{2}{42}$

„Pocisk“:

ładunek 1 $\frac{2}{52}$ $\frac{1}{64}$

ładunek 2 $\frac{6}{58}$ $\frac{4}{82}$ $\frac{3}{92}$

ładunek 3 $\frac{3}{74}$ $\frac{2}{78}$

ładunek 4 $\frac{4}{49}$ $\frac{3}{55}$ $\frac{2}{58}$ $\frac{1}{87}$

ładunek 5 $\frac{4}{48}$ $\frac{3}{64}$ $\frac{2}{70}$

Podpisali:

(—) Piasecki pplk.
(—) T. Szarewski
(—) W. Belkowski
(—) Rakowski mjr.
(—) Benedykciński
(—) Wl. Zabiello.

Wyprawa myśliwska do Abissynji.

9

Słońce dotykało już ziemi rozpaloną tarczą, gdy krajobraz jął się nagle zmieniać. Widać jakieś podziemne źródła zasilały tu grunt, bowiem bez żadnego niemal przejścia od absolutnej martwoty do bujnego życia, strzeliło ku niebu parę wyniosłych drzew, potem zazieleniały krzewy i pnącze, a po chwili już mój biały muł naprężając cugle, starał się sięgnąć wargami ku miękkiej i bujnej trawie. Wnet też rozesłały się wkrąg pola kukurydzy i durry, a ponad ich gąszczem wychynęły szczyty lepianek, niby garby brunatnych wielbłądów. Ali i Musu posłani przodem zawiadomili wodza o przybyciu białych panów. Stary Mambo wyszedł na nasze spotkanie w otoczeniu całego swego ludu. Było tego niewiele, kilkadziesiąt głów zaledwie, licząc w to i dzieci, bo cała wioska składała się z kilkunastu tylko chat. Tuliły się one ku sobie dość ciasno, opasane wkoło wysokim płotem z kolczastych gałęzi.

Tymczasem jęło się robić zimno. Ponad rozpaloną dziennym żarem równiną, rozsnuły się mgły wilgotne i ciężkie. W mgłach tych czaiła się febra. To też po krótkiem wahaniu i daremnem wpatrywa-

niu się w mroczny horyzont, przyjęliśmy ofiarowaną nam gościnność wodza. Wprowadził nas do chaty dość dużej, lecz zbudowanej według ogólno krajowego wzoru. Mocne i długie żerdzie wbite kręgiem w ziemię, a u góry umocowane do koła z wikliny o półmetrowej mniejwięcej średnicy, unosiły pokrywę z liści, gałęzi i gliny. To były ściany i dach; dziura po środku zastępowała komin. Podłogę stanowiła ziemia ubita jak klepisko. Maty z palmowych włókien zaściełały ją miejscami. W środku tej komnaty płonął spory ogień.

Usiedliśmy pod ścianą, trochę już zniecierpliwieni, ale jeszcze pogodnie znoszący swój los. Po paru minutach jednak uczułem silne ukłucie w łydkę. Nieznacznie podrapałem ukłute miejsce z ukosa spoglądając na pana D. Widziałem, że delikatnie pocierał ramię. Potem ja chwyciłem się za szyję, on za stopę; potem znów ją za głowę, on za bok. Po dziesięciu minutach zerwaliśmy się niemal jednocześnie i wybiegliśmy z chaty.

Niebo było pogodne i pełne gwiazd jaskrawych jak elektryczne lampki, a tak zda się blizkich ziemi, że mimowoli człowiek się dziwił, że one tylko świecą, a nie grzeją. Bo dołem ciągnął chłód niemal mroźny; było zapewne pięć do sześciu stopni tylko. Ubrania nasze, z cieniutkiej materji, zastosowane do dziennego upału, stanowiły bardzo marną osłonę. To też po chwili stopy i ręce nam zgrabiały, i rzuciwszy ostatnie tęskne wejrzenie w kierunku skąd miała przybyć nasza karawana, jak niepyszni wróciliśmy pod dach.

Podobnych wędrówek w ciągu tej nieskończenie długiej nocy, odbyliśmy pewno kilkadziesiąt. Z chaty wypędzały nas: owady dziwnie liczne, dokuczliwe i zajadłe, przykry zapach potu i brudu, oraz gryzący oczy dym. Nazewnątrz czyhał przenikliwy chłód. Przez cały czas, ani śladu naszych ludzi. Dopiero o świcie usłyszeliśmy gwar i krzyki: to karawana wchodziła w granice wioski.

Przewodnik wyłożył nam dokładnie przyczynę opóźnienia. Oto wielbłądy tak poobijały nogi o twardy grunt i tak się pomęczyły, że w pewnej chwili zupełnie odmówiły posłuszeństwa. Stanęły pośród drogi i nie chciały ruszyć ani wprzód, ani w tył. Popędzano je najpierw krzykami, później biciem, a wreszcie gdy jedno i drugie nie pomogło, poprostu ogniem. Zapalano wiechcie słomy uszczknięte z opakowania niektórych juków i przypiekano boki biednych zwierząt. Wówczas ruszały pędem, rozsypując bagaże i tratując ludzi, by po chwili znów uparcie tkwić w jednem miejscu. Tak dotarto do pierwszej trawy. Tam dyscyplina rozprzęgła się do tego stopnia, że nie mogło być mowy o dalszej jeździe, więc o kilometr od wioski popasano do pierwszego brzasku.

Ile w tem opowiadaniu było prawdy, a ile przesady, z trudem dało by się sprawdzić. Zresztą śledztwo było by bezcelowem, poniechaliśmy go więc. Wieś, w której spędziliśmy tę miłą noc, tak nam obrzydła, że postanowiliśmy się od niej jaknajrychlej oddalić, i natychmiast ruszyliśmy w drogę. Mieliśmy zresztą zamiar rozbić obóz w pierwszem dogodnem miejscu i wyspać się tam oraz wypocząć doskonale.

Bronisław Gordziałkowski.

(D. c. n.).

Myśliwski konkurs fotograficzny.

Redakcja „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego“ ogłasza II Wielki konkurs fotograficzny dla Czytelników naszego pisma.

Do fotografji, zaopatrzonych godłem, należy doopatrzone również godłem.
łączać adres i nazwisko w zamkniętej kopercie, za-
Fotografje na konkurs należy adresować:

Redakcja „Przeglądu Myśl. i Łow. Pol.“. Warsz., N. Świat 21. Na konkurs fotograficzny.

„Jury“ stanowi Zarząd Myśliwskiej Spółki Wydawniczej.

Piękne nagrody na powyższy konkurs zgłosiły łaskawie dotychczas następujące firmy:

Warszawska Spółka Myśliwska; H. Sawicki i S. Czerski; R. Torchalski; J. Sosnowski, wł. Cz. Lisowski; f. „Sport“; R. Ziegler; R. Straburzyński i S-ka.

Szczegółowy wykaz nagród ogłoszony zostanie w Nr. 3 (75).

Dnia 25 listopada r. ub. odbyło się polowanie w Rozkoszy u p. Aleksandra Karskiego. W 9 strzelb zabito 95 zajęcy. Królem polowania był p. St. Rozenwerlit, mając 27 sztuk na rozkładzie.

Dnia 4 stycznia r. b. polowaliśmy na 400 morgowym terenie łonieckim pana Stanisława Obertyńskiego w Jordowie, powiatu Hrubieszowskiego, przy udziale 6 myśliwych. Wynik: 57 zajęcy. Pogoda zupełnie niedopisała, polowaliśmy po błocie. Należy podnieść i uznać wielką a umiejętną pracę i troskliwość hodowli zwierzyny p. Obertyńskiego, który zwierzostan znacznie powiększył, dowodem czego wyniki polowań: Rok 1921 1 zając (dosłownie jeden zając), rok 1922 nic polowano, rok 1923 18 zajęcy i 2 lisy, rok 1924 29 zajęcy i 2 lisy rok 1925 57 zajęcy. Widzieliśmy jednak na polowaniu tak wielką ilość zwierzyny, że przy normalnej ilości 12 strzelb, padłoby bez przesady 50 proc. więcej. Oby za przykładem p. Obertyńskiego poszli i inni właściciele łowisk, do czego każdy prawdziwie zamiłowany myśliwy, a nie uprawiający łowiectwa, jedynie dla mody i dla przyjemnego zebrania towarzyskiego (bridge, wódeczka, fraki) dążyć jest obowiązany.

Jeden z uczestników.

W kronice myśliwskiej Nr. 24 „P. M." omyłkowo podano, iż na polowaniu Lubelskiego Tow. ubito 12 zajęcy na terenie Świdnik Duży. Winno być: 122 zające.

W. Łosakiewicz.

Śląskie Towarzystwo Łowieckie w Katowicach urządziło dwa polowania w bieżącym sezonie.

Dnia 19 grudnia 1925 r. przy udziale 9-ciu członków w Książenicach. Rozkład 20 zajęcy. Królem był p. Mędlewski.

Ddnia 22 grudnia r. ub. przy udziale 6-ciu członków w Golejowie. Rozkład 31 zajęcy. Królem był p. Cenkier.

W obydwu wypadkach pogoda niedopisała. Tem się tłómaczy stosunkowo mały udział członków i niezbyt imponujący rozkład.

Stwierdzono naogół poprawiający się stan zwierzyny, zwłaszcza kuropatw, zajęcy i bażantów. Nowopowstałe Towarzystwo, skupiające wszystkich prawidłowych myśliwych na Śląsku będzie się starało wszelkimi służącymi mu środkami wzmocnić te tendencje, zmierzające ku poprawie zwierzostanu. W związku z tem organizuje się z końcem stycznia wielkie polowanie na lisy, które w niektórych okolicach Śląska liczniej się pojawiły. Zarząd Towarzystwa (Bank Ziemski Katowice) wzywa wszystkich dotąd niezorganizowanych myśliwych na Śląsku do wstępowania w poczet członków.

Sekretarz *Inż. Jan Podgórny.*
Prezes *Palacz.*

Z POMORZA.

Sezon polowań na zające ma się ku końcowi i okazało się, że przyrost szaraka zawiódł oczekiwania i nadzieje, rezultaty bowiem z odbytych polowań wcale nie są obfitsze od skromnych rezultatów zeszłorocznych. Rozmaite są tego powody, lecz najważniejszy, to zbyt forsownie prowadzone polowania. Bezwarunkowo za wiele jest myśliwych, za często odbywają się polowania na jednych i tych samych terenach łownych i za mało zwraca się uwagi na wypoczynek tych terenów, a jest to przy obecnym szczupłym stanie zwierzyny nader ważne. Zdaniem moim we wszystkich lasach państwowych powinno być dozwolonem urządzać polowania z naganką na jednym i tym samym terenie łownym tylko raz jeden na dwa lata. Taki wypoczynek łowisk powinien trwać aż do dojścia zwierzostanu do normalnej ilości, boć przecież jest wprost smutnem objawem, że na terenie, na którym w 14 strzelb w latach 1913 i 1914 padało od 150 i więcej zajęcy, dziś pada w najlepszym razie 60 — 70 zajęcy.

Na polowaniu dwudniowym 24 i 25 listopada r. ub. w nadleśnictwie Leśno, w 14 strzelb zabito 117 zajęcy i 6 lisów, królem polowania był p. Roman Kentzer, mając na rozkładzie 11 zajęcy i 2 lisy.

Piątego grudnia r. z. w nadleśnictwie Kostkowow w 14 strzelb ubito 77 zajęcy i 1 lisa i 1 rogacza, królem polowania był p. poseł Dubanowicz, mając na rozkładzie 14 zajęcy.

Rezultaty z polowań w innych nadleśnictwach państwowych lasów Pomorskim przyślę w następnej korespondencji.

Leon Pęski.

Toruń, 2 stycznia 1926 r.

Sprawozdanie z polowań w Częstochowskiem.

W poświątecznem polowaniu w Mansach Wielkich i Lipiu pp. Steinhagenów zabito w 12 strzelb, przy najfatalniejszej aurze w kilku pędzeniach leśnych i kotłach w Mansach 150, w Lipiu 80 zajęcy, przy czem p. Aleksander Steinhagen najwięcej sztuk miał na rozkładzie. Zawdzięczyć należy widoczne polepszenie się ogólnego stanu zwierzyny w tych majątkach odświeżaniu krwi przez sprowadzone w 1925 r. 40 matek zajęcy z Krośniewickiego leśnictwa. Upolowana zwierzyna odznacza się obecnie wzrostem i masywnością. W ubiegłych latach przy najkorzystniejszych warunkach, a nawet większej ilości strzelców, zaledwie na rozkładzie bywało 40 — 45 zajęcy.

Czerniejewski.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ciekawe numery „Łowca Polskiego“ za grudzień dają nam wiadomości z Centr. Zw. Stow. Łow. „Z hodowli bażantów“. J. Sztolcmana, piękne wspomnienia hr. Tyszkiewicza z Afryki i hr. Potockiego z Polesia, oraz „Badania nad słownictwem łowieckiem“ J. Oreńskiego. Bardzo interesujący materjał przynosi również „Łowiec“ lwowski.

Okazale przedstawia się 51 i 52, podwójny numer świąteczny „Żołnierza Polskiege“. Na bogatą treść składa się: W stajence — Gawalewicza, autograf prezydenta Rzeczypospolitej, zwierzchnika sił zbrojnych Państwa. Narodzenie Chrystusowe — Kasprowicza. Święty wieczór — Reymonta. Świąteczne zwyczaje. Jak się Maciej Rzepa na zimę szykował — Sławoja Składkowskiego. Dalej artykuły treści wojskowej, ciekawie i fachowo ujęte: Marsze i jak zostać dobrym marynarzem. O sportach zimowych mówią nam artykuły: Łyżwy i sanki oraz zima w górach i narciarstwo. Kończy numer barwny obrazek — Poskromione fezy. Kronika. Ciekawe i pożyteczne. Humor i rozrywki umysłowe. Zajmującą treść dopełnia przeszło sześćdziesiąt doskonałych ilustracyj. Okładkę rysował E. John.

Redaktor Naczelny: Juljan Ejsmond.
Dyrektor Zarządzający: Benon Perzyński.
Wydawca: Myśliwska Spółka Wydawnicza (Sp. z ogr. odp.).
Zarząd: Juljan Ejsmond, St. Krzywoszewski, B. Perzyński.

Komitet Redakcyjny: Gen. Bron. Grąbczewski, Wł. Czerniejewski, Janusz Domaniewski, Józef Gieysztor, Wł. Janta-Połczyński. Adam hr. Rzewuski i Bolesław Świętorzecki.

Redaktor przyjmuje od godz. 1 — 2 we środy w Ref. Łowieckim Min. Rolnictwa (Senatorska 15).

Redakcja i Administracja: Nowy Świat 21 (księgarnia Perzyński, Niklewicz i S-ka) tel. 107-37.

Cena numeru niniejszego **zł. 1.30** Prenumerata kwartalna **płatna z góry** wraz z dodatkiem (Bibljoteka Myśliwska) = **7 zł.**, miesięczna **zł. 2.50.** Konto czekowe w P. K. O. Nr. 7595. **Rękopisów Redakcja nie zwraca.**

Cena ogłoszeń: 1/1 str. **120 zł.** 1/2 str. **60 zł.**; 1/4 str. **37.50 zł.**; 1/8 str. **22.50 zł.**; 1/16 str. **12 zł.**
Pierwsza i ostatnia strona o 50% droższa.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15.



SPÓŁKA AKCYJNA

P O L E C A J Ą:

Naboje Myśliwskie

Całkowicie w kraju wykonane, ładowane na elektroautomatach klb. 12, 16 i 20 angielski proch bezdymny, hartśrut we wszystkich wielkościach,

oraz ŁUSKI (gilzy) myśliwskie

Jedno i wielostrzałowe

SPRZEDAŻ HURTOWA: — od 10,000 sztuk rabat.

ZAMÓWIENIA PRZYJMUJE i INFORMACJI UDZIELA:

Biuro Zarządu „POCISKU“

Warszawa, Przejazd 5.

TEL. 8-61 do 8-66

(CENTRALA WEWNĘTRZNĄ Nr. 9).



Adres telegraficzny:

„Warszawa—Pocisk“

